



MIESIĘCZNIK SZKOLNY

czerwiec 2009
wydanie bezpłatne

W numerze:

Sen.....	2
Kultowość pachnie gumą turbo.....	4
Fenomen wampirów.....	6
Spotkanie.....	7
Czarna dziura.....	7
Ostatnio w Lublinie sporo się działo/grzło.....	8
Narodziny turystyki kosmicznej.....	9
Uczeń – człowiek sukcesu.....	10
Siadła babcia na bujanym fotelu.....	13
Łoża absolwentów.....	14
• Goodbye my 5, goodbye!.....	13
• Po prostu za szybko... 14	
• ***.....	14
Na odchodne.....	13

Ostatni raz?

Co to się porobiło... Ni stąd, ni zowąd przychodzi mi kończyć liceum, pisać maturę i, w przerwie w opracowywaniu strategii działania na najbliższe miesiące, spoglądać spode łba na wielki znak zapytania, pod jakim stoi przyszłość Lipy. Już zresztą od paru dobrych miesięcy czarne chmury wisiały nad nią uparcie. Zły to był czas dla Redakcji, bo dla większości jej członków – niesamowicie wręcz pracowity. I w biegu.

Tymczasem w siną dal odchodzi nasza wyjątkowa Opiekunka, Mentorka – CenSorka i czuwające Ono – Elżbieta Pawlak. W siną dal odchodzi też pewna część Redakcji – a w niej obie, posiwiałe już z lekka Naczelnice. I chociaż wielce prawdopodobnym jest, że od października obie będą miały do Piątki jakieś trzy i pół minuty drogi, chociaż zostaje w szkole jeszcze spora garść osób pragnących ciągnąć Lipny żywot dalej – potrzeba tu kogoś, kto będzie mógł i chciał powiedzieć tejże garści,

że jest w stanie nad nią czuwać i motywować do działania w razie potrzeby. Tu trzeba pasterza!...

Zanim jednak bezpardonowo się rozkleję, zachęcę jeszcze do lektury, bowiem dziś teksty naprawdę potrafią zaskoczyć (czy ja już kiedyś pisałam, że zdolną młodzieżą jesteśmy?). Zakres tematyczny od fizyki do metafizyki.

Żegnam Was tchnieniem bynajmniej nie ostatnim. Pozdrawiająca wyjątkowo rzewnie –

En.



Sen

Sherlock Holmes i jego przyjaciel dr Watson lecieli balonem. W pewnym momencie Sherlock zrozumiał, że się zgubili. Ponieważ na polanie zauważył chłopca, postanowił obniżyć lot i zapytać go o nazwę miejsca, w którym znajduje się razem z doktorem Watsonem. – Chłopcze, gdzie jesteście? – krzyknął Sherlock.

–W balonie, w balonie. – odpowiedział chłopiec.

–Jestem pewien, że ten chłopiec będzie psychologiem. – stwierdził doktor Watson.

–Watsonie, dlaczego tak uważasz? – odparł zdziwiony Sherlock.

–Swoją wniosek opieram na zjawisku indukcji psychologicznej. Chłopiec nie skłamał, a my i tak nie wiemy, gdzie jesteśmy...

Piątek.

Lubelski dworzec PKS. Busy mają to do siebie, że lubią się spóźniać. Na zegarku 17:54. Powinienem odjechać 9 minut temu, busa jeszcze nie widać. W końcu jest. Żegnaj Lublin z piętnastominutowym opóźnieniem. Pewnie tych piętnastu minut zabraknie mi na warszawskim dworcu. Uwielbiam przewidywać rozwój wydarzeń. W busie ciasno, gorąco i duszno. Na trasie jeszcze jeden postój. Warszawa i jej magiczne korki. Cudownie. W końcu przed 21. dostrzegam Pałac Kultury. Czas wysiąść. Zimno. Oczywiście eSkamka już odjechała. Piętnaście minut wcześniej. Trudno, czekam na następną. 21:07. Przyjechała. Całkiem ładny pociąg. Koniec drugiej strefy, stacja Pruszków. Nie wiem, ile jechałem, chyba krócej niż każdego z dnia z domu do szkoły. Mijam kolejne pruszkowskie ulice. Jedne ciemne i przerażające, drugie zupełnie sympatyczne. O, po prawej Pewex, trochę dalej na lewo – Żabka. Miasteczko jak wiele innych. Kiedyś podobno grasowała tu mafia. Kiedyś podobno ktoś widział Yeti... Jednakże, mimo wszystko, coś wisi w powietrzu. Ale co? Sam nie wiem. Nerwowo rozglądam się dookoła. Czuję, że ciśnienie skacze. Za dziesięć dziesiąta. Docieram

na nocleg. Świetnie, całkiem przytulnie. Nawet żółwica w terrarium wydaje się być w sumie miła. Prędko jednak nie zasnę. Nie pozwala mi na to coś. A raczej ktoś. I tym kimś nie jest żółw. Na telefonie godzina po pierwszej. Ostatni rzut oka na notatki. Spać. Muszę. Chyba dotykam granicy ludzkich możliwości. Kolejna noc, gdy snu prawie nie ma. Niech to się już skończy...

Sobota

Budzę się. Na zegarku przed 6. Dziwne. Czuję, że chcę spać. Ale spać nie mogę. Stres? Możliwe. Cisza. Wszyscy jeszcze śpią. Wstaję, podchodzę do okna. A w szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni wiosenny. Leje. To chyba znak. Tylko jaki? Nie lubię deszczu. Świetnie, podróż do celu będzie na pewno wspólna. Bateria w telefonie jest słaba. Wyłączam go. Dlaczego w pokoju, w którym śpię, nie ma żadnego zegarka? Nie lubię momentów, gdy nie wiem, która jest godzina. Trudno. Przewertuję jeszcze notatki, chociaż mam już dość teorii, badań... Litery rozjeżdżają mi się w oczach. Idę do łazienki, zimna woda na pewno mnie ożywi. Patrę w lustro, pytam samego siebie, co ja tutaj robię? Nie, nie chcę już analizować żadnej genialnej teorii... Ale to silniejsze ode mnie. Czytam. Stukanie do drzwi. Ktoś naprawdę stukał czy tylko mi się wydawało? Za dużo myślę. Zdecydowanie. Proszę. Mówię to bez przekonania, że ktoś stoi za tymi drzwiami. A jednak. Jednak to nie sen i nie przywidzenia. Czas lekko się rozchmurzyć. Śniadanie. Nie mogę jeść. Nerwy. O tak. Duża, mocna kawa. Tylko tyle na początek dnia. Za oknem nadal leje. Dobrze, że nie musimy iść na stację, lecz ma kto nas podwieźć. Czekamy na pociąg. Znowu nerwowo rozglądam się. W nocy stacja wyglądała zupełnie inaczej. Teraz okrywa ją coś, co moje zmęczone oczy odbierają jako mgłę. Płuca czują, że powietrze jest okrutnie mokre i ciężkie. W końcu jest skm. Stara, śmierdząca kolejka. Okropnie zatłoczona. Nie wchodzimy nawet do przedziału – i tak nie ma gdzie tam stanąć.

Duszno i gorąco. Wysiąść, jak najszybciej wysiąść. W końcu. Teraz biegiem do metra. Oczywiście, odjechało. Spoglądam na zegar. 2:50 do następnego. Jedziemy, jeden przystanek. Ach, ktoś, kto wymyślił 24-godzinne, dwustrefowe bilety obowiązujące w skm, metrze, autobusach... Był geniuszem. Wyjście z podziemia. Warszawa nadal płacze. Jest autobus. Nie wiem, ile przystanków przejechaliśmy. Wsiadamy. Jest. Siódme liceum ogólnokształcące im J. Słowackiego w Warszawie. Moja przewodniczka mnie opuszcza. Ale tylko na kilka godzin. Na drzwiach ogromne logo „Charakterów”. Tak, to tutaj. Rejestracja, wpisanie się na listę warsztatu z komunikacji werbalnej i niewerbalnej. Krótkie zwiedzanie szkoły. Na ścianie wiszą zdjęcia absolwentów. Małgorzata Glinka, Dorota „Supernia” Zawadzka... Tak. Czuję, że to warszawska szkoła. Zabieram kurtkę i wychodzę przed budynek. Podchodzi do mnie jakiś chłopak, obwód szyi ma większa niż ja obwód uda. Słyszę „czy tutaj odbywa się konkurs psychologiczny”? Myślę sobie: „Stoję przy drzwiach, na których wisi ogromne logo konkursu. On tego nie widzi. Tak. Jest tutaj przez przypadek”. Rzucam krótkie: tak. Nie chcę problemów. Wracam. Zbliżyła się godzina zero. Sala 47. Pokazuję dowód. Pani najwyraźniej czuje potrzebę dogłębnego sprawdzenia danych osobowych. Proszę bardzo. Jest mi już wszystko obojętne. Siadam w ostatniej ławce. Pierwsze co robię – otwieram szeroko okno. Tłenu. Pada, chociaż trochę mniej. Dostajemy dyplomy za udział w finale. Papierek do kolekcji. Są zadania. Zaczynam. Położyły mnie – stres. Dosłownie. Pytania o stres. Strzelanie nie jest moją dobrą stroną. Ogólnie nie było źle, ale ustny chyba nie będzie dla mnie. Zabieram paczkę, jaką dostał każdy finalista i wychodzę. Przeglądam zawartość papierowej (ekologia – ważna rzecz) torby z czerwonym napisem „charaktery”. Ostatni numer, kilka ciekawych wydawnictw psychologicznych. Miło. Rozmawiam z kilkoma osobami. Idziemy na obiad. Stołówka w podziemiach jeszcze zamknięta. W końcu otwierają się drzwi. Kwaśna zupa pomidorowa. Bardzo kwaśna. Ale mnie już napraw-

dę niewiele potrzeba do szczęścia. Może gdyby nie to, że ktoś ochlapał mi rękaw białej koszuli zupą, byłbym całkowicie szczęśliwy. Ta drobna kwestia psuje moje odczucia. Po lewej siada jakaś dziewczyna. Zdaje się być młodsza. Rozmawiamy chwilę. Po sposobie, w jaki prowadzi rozmowę, wnioskuję, że przeczytała dużo książek w stylu „Komunikacja i życie” – czy coś na ten kształt. Szkoda tylko, że wskazówki z tych cudownych podręczników, pisanych przez domorośli psychologów, nie zawsze się sprawdzają. A dla osoby, która wie, o co w tym chodzi, są wręcz śmieszne. Zaczyna mnie to męczyć. Wymyślam naprędce jakiś powód i uciekam. Mam dość. Idę do auli, siadam obok dziewczyny, która była razem ze mną w sali, w której pisałem konkurs. Po chwili dwie kobiety i mężczyzna siadają na wolnych miejscach obok mnie. Zaczynają rozmowę. Negatywnie komentują wszystko co jest wokół. Tu źle, tam niedobrze. To brzydkie. Ble ble ble. Rozmawiam z tą dziewczyną. Śmiejemy się z pewnych tekstów zamieszczonych w „Charakterach”. Na mównicy pojawia się założyciel „Charakterów”. Na otwarcie opowiada historię o Sherlocku Holmesie. Historia taka sobie. Ktoś zaczął się śmiać, a że konformizm społeczny jest powszechny, nie wypada również tego nie czynić. Czas na przedstawienie jury. Okazuje się, że są to osoby, które siedzą obok mnie. Żeby było śmieszniej, są to osoby, które piszą teksty do „Charakterów”. Teksty, z których chwilę wcześniej się naśmiewałem. Wreszcie jest to grupa wspaniałych psychologów, którzy przed paroma sekundami skończyli narzekać na wszystko i na wszystkich. Wstają, wychodzą na środek auli. Uśmiechnięci. Ach, jak cudownie jest na własne oczy zobaczyć, co to znaczy, że życie to teatr emocji. Czas wyczytać dziesiątkę wybrańców. Jeśli ktoś chce, może zostać na ustnym i zobaczyć, jak odpowiadają kolejne osoby. Zostają. Chcę posłuchać jakie teorie i jakie pomysły na interpretacje zadań problemowych mają te osoby. Pier-

sza osoba losuje temat „Emocje a racjonalne myślenie”. Spodziewam się tutaj odwołania do dwuskładnikowej teorii emocji Schachtera. Spodziewam. Bo pada wzmianka o sieciowej teorii osobowości, o której była mowa w literaturze turniejowej. Należy jeszcze wylosować jakiś wielki eksperyment psychologiczny i omówić go. Pierwsza osoba wylosowała eksperyment Davida Rosenhana „Diagnoza i pseudopacjenci”. W omawianiu go, już na początku popełnia okrutny błąd. Zapewne jest to wynik stresu. Za kilkanaście minut rozpoczynają się warsztaty. Wyciągam telefon, piszę do mojej przewodniczki po mieście stołecznym. Będzie za jakiś czas. Mam się nie ruszać z tej szkoły. Nie ma sprawy. Nawet nie mam zamiaru. Zgubienie się w Warsza-



wie nie jest moim marzeniem. Zostaję w auli i słucham wypowiedzi kolejnych osób. W końcu z kilkoma dziewczynami opuszczamy aulę. Od słowa do słowa wspólnie stwierdzamy, że część pi semna stała na bardzo wysokim poziomie (trzeba było zdobyć 64 z 76 pkt żeby przejść do części ustnej). Lecz część ustna była kontrastowa i jej poziom był wręcz zenująco niski. Zapewne dlatego, że do pierwszej części trzeba było po prostu zakuć literaturę. W drugiej trzeba było analizować, wysnuć wnioski, odwołać się do teorii spoza literatury turniejowej, a przede wszystkim – dokonać autoprezentacji. Obserwujemy, że osoby, które świetnie zakuły, mają problemy z analizą zadania problemowego. Nawet miny komisji zdawały się potwierdzać nasze spostrzeżenia. Przemyślimy to na chłodno i pewnie stworzymy na pod-

stawie tych obserwacji jakąś teorię. W końcu jesteśmy w większości przyszłymi psychologami... Idziemy zajrzeć na warsztaty. Szybko z nich wychodzę. Brakuje mi sił. Zwyczajnie czuję, że mój organizm zbliża się do kresu swej wytrzymałości. Żegniam się z kilkoma bardzo pozytywnymi osobami, idę do szatni po kurtkę. Schodzę po schodach, otwieram drzwi. Wychodzę. To już za mną. Za mną stres i nauka. Z wyniku i tak jestem zadowolony. Mogę spokojnie wracać do szkoły i zastanawiać się, z czego i kto mnie dzisiaj zapyta. Rozmyślania przerywa głos mojej przewodniczki. Mogę się uśmiechnąć. Czynię to. Mogę w końcu być sobą. W końcu sobą a nie kimś, kto 24 godziny na dobę analizuje teorie, ludzkie zachowania. Zauważam, że przestało padać. Wsiadamy do autobusu. Nie ma tłoku, są wolne miejsca. Siadamy. Po chwili łapię się na tym, że analizuję zachowanie ludzi siedzących przede mną. Wsiadamy. SKM, która podjechała, jest nowoczesna, ładna i nie śmierdzi w niej. Pruszków wita nas pięknym słońcem. Idziemy jeszcze na spacer. Muszę się zrelaksować po tygodniu, w którym praktycznie nie wychodziłem z domu. Poznaję to miasteczko. Ulica Kubusia Puchatka.

Bardzo pozytywna. W oddali widzę kwaciarnię. Szybka decyzja. Wchodzę. Muszę się jakoś odwdziżyć mojej przewodniczce. Idziemy dalej. Niestety, czas biegnie nieubłaganie. Wracamy jeszcze na kubek gorącej herbaty. Wychodzimy po 19. Pruszków oblewa czerwień zachodzącego słońca. W tym miasteczku można się zakochać. I znowu trasa do stacji SKM. I kolejna podróż eSKaeMką. Jednak już nie tak szczęśliwa, jak kilka godzin wcześniej. Podróż, podczas której znów stwierdzam, że ten kto wymyślił bilet dobowy był geniuszem. Mój bus powinien odjechać o 20:25. Jesteśmy na miejscu przed 20. Okazuje się, że wcześniejszy kurs nie odbył się z powodu awarii, zatem został połączony z moim. Świetnie. Mam rezerwację i bilet wykupiony w dwie strony, a mimo to możliwe, że nie pojedę. Jednak po kłótni z kierow-

cą, zakrapianej psychologicznymi (a obiecałem sobie, że nie będę tego robił) technikami, znalazło się dla mnie miejsce. Wściekły, ale jadę. Na zegarku jest 20:10. Bus rusza. Przez te negatywne emocje pożegnanie z moją przewodniczką było bardzo krótkie. Może mi wybaczy... Z rozmyślań wyrwywają mnie pierwsze takty „Normalnie o tej porze”. Krótki sms. Kilka słów. Nagle bus zatrzymuje się. Co jest? Pan kierowca czeka na jakieś dwie panie, które ma zawieźć na wesele do Tomasza Lubelskiego. To dlatego nie wziął więcej osób, mimo że dwa miejsca z przodu były wolne... Postój trwa pół godziny. Podobno busy nie mogą zatrzymywać się na innych przystankach niż początkowy i końcowy. Podobno. Zdążyłem w tym czasie zadzwonić do kierownictwa i ponarzekać, że nie podobają mi się te sytuacje. Zresztą nie tylko mnie. W końcu ruszamy. Pan kierowca opowiada siedzącym obok niego, wspomnianym wcześniej paniom, historię o tym, jak to jeździł gdzieś na zachód. Ach, och i w ogóle. Pytam, czy w swej łaskawości zatrzyma się przed Lublinem, gdyż nie mam ochoty wracać po nocy, skoro przejeżdżam obok domu. Niestety, pan stwierdza, że on ma przystanki w Warszawie pod Pałacem Kultury i w Lublinie na dworcu autobusowym. Bez zastanowienia odpowiadam, że nie było dla niego problemem zatrzymać się w Warszawie i czekać pół godziny na siedzące obok niego panie. Tym odważnym stwierdzeniem zdobyłem poparcie wśród współpasażerów, również niezadowolonych z tamtego warszawskiego postoju. Pan kierowca ostatecznie zatrzymuje się na przystanku PKS. Na pożegnanie mówi „I na przyszłość więcej wyrozumiałości proszę!”. Tak. Równie dobrze to ja mógłbym mu to powiedzieć. Choć muszę przyznać, że sens jego wypowiedzi jest dla mnie lekko niezrozumiały. Światła domu. Jest sporo po 11. w nocy. Marzę o tym, by zamknąć oczy. Zmęczony, wręcz wykończony – szukam w torbie kluczy. Są. Klucz zgrzyta w zamku. I tak kończy się moja wielka słodko – kwaśna podróż. Mój psychologiczny, warszawsko – pruszkowski sen.

Linus

■ Kultowość pachnie gumą turbo

Kultowość – to słowo żyje swoim życiem i raczej próżno go szukać w przyzwoitym słowniku. Nie mniej jest ono wygodne i całkiem zgrabne. Na forum swojego LO [5lo.info] zapytałam najróżniejszych ludzi o to, co jest dla nich kultowe i rozpętałam małą wojnę. I chociaż wszyscy wyszli z tego cało – nawet netykieta – ja zostałam sam na sam z dziesiątkami rzekomo kultowych rzeczy, z którymi trzeba było coś począć. Od człowieka, muzyki i dżinsów, przez Coca-Colę, Pegasusa i Pulp Fiction, gdzieś na gumie Turbo i Adamie Słodowym skończywszy.

Kultowość wiąże się z każdą dziedziną życia, bo wszędzie jest zapotrzebowanie na pewne wzorce. By rzecz, postać czy wartość stała się kultowa, musi być, co oczywiste, pozytywna w oczach wielu ludzi. Co za tym idzie, wymagana jest wysoka jakość, wzbudzenie zaufania, trwałość i pewna doza kontrowersyjności, bo nijakość – nie mylić z kiczowatością – nie sprzedaje się w żadnej epoce. A kultowy oznacza: dobrze sprzedawany. Czy guma Turbo kojarzy się z wysoką jakością? Niezupełnie, ale za to kojarzy się z „lepszymi czasami”, w efekcie: budzi wspomnienia – i to jest druga cecha kultowej rzeczy. Wspomniany wcześniej Pegasus, Jimmie Hendrix czy choćby karteczki do segregatora z Królem Lwem – wszystko to są przykłady, jakie podsuwali mi ludzie różnego charakteru i jeszcze bardziej różnego światopoglądu. Czy jest ktoś, kto po obejrzeniu Forresta Gumpa pozostał zupełnie obojętnym na jego historię? Nawet na Filmwebie

nikt jak dotąd nie stworzył tematu, w którym mógłby obrzucać go mięsem i prowokować długie na dziesiątki stron, krwawe jatki z resztą userów.

Czytając kolejny raz dyskusję, jaka wytworzyła się po moim odzwie na forum, ciągle powracam do słów jednej z użytkowników: obecnie należy się zastanowić co będzie kultowe za 20 lat. tokio hotel, ipod, dyski 200GB, gazety na papierze itd. Żyjemy coraz szybciej, coraz bardziej globalnie. Nosimy naszą pamięć na przenośnych nośnikach, pozwalając Internetowi czynić nasze życie prostszym. Ceną za nie jest unifikacja – o tyle krzywdząca,

bo pojmująca jednostkę grupą, do jakiej została przyporządkowana

– raz mobilna codzienność, w której maksymalnie redukuje się czas.

Czy zatem to, co będzie kultowe jutro, będzie

stać się taką samą wartością, jak

to, co było kultowe wczoraj? Zapytamy się o to, kiedy nasze

wnuki będą rysować laurki w swoich podręcznych notebokach.

Kultowość dotyczy przede wszystkim kultury – muzyki, literatury, kina – i to ona staje się pewnym wyznacznikiem smaku. Przepis na bycie kultowym, jakkolwiek przeanalizowany, pozostaje tajemnicą. Grunt, by mieć swój rozum i kubki smakowe w ciągłej gotowości – by dostrzegać kultowość w tym, co naprawdę jest wartościowe.

En



Spotkanie

Wczesna noc, zadymiony bar pełen młodych zdawałoby się ludzi. Kilkoro z nich już, czy też: nareszcie przestało kontrolować siebie. Dziewczyna z kręconymi włosami próbuje gdzieś zadzwonić. Głośno przeklina, znów wybiera numer. Na zewnątrz pada deszcz. Dochodzi dwudziesta trzecia. Ulicą owdowiała po snujących się za zwyczaj ludzi idzie wysoki, trochę zbyt szczupły, ubrany na czarno chłopiec. A może mężczyzna? Kto wie, jak to się dzieje, że nagle stajemy się dorośli... Woda z włosów spływa mu na nos. Stamtąd skapuje na wargi lub ścieka w jakieś niewiadome miejsce. Może gdzieś jest inny świat, ten, do którego mógłby pasować. Jakies miasto spokoju, o którym nawet nie miał odwagi śnić. Nie omija kałuż, wszystko mu jedno czy rozdepcze zwłoki dżdżownicy – topielca, czy pozwoli im puchnąć „w pokoju”. Przyspiesza kroku, mija go czerwono-żółty, syczący trolejbus. Sytuacja zmusza go do biegu, po dwudziestej drugiej miejskie już nie jeżdżą tak często. Jest w środku. Światło emitowane przez małe żarówki skutecznie uniemożliwia podziwianie pozostawionego za szybą świata. Można za to patrzeć na swoje odbicie. A może raczej czasem trzeba spojrzeć? Przetrzeć zaporowane szkło i z przerwaniem stwierdzić, że to naprawdę my. Nie wyciera szyby. Kolejny przystanek. Robi się ciasno, zaduch jest jeszcze większy. Tylu ludzi o tej porze? Twarze ubywa na kolejnych przystankach. Ludzie przychodzą, zabierają tlen i wysiadają bez „do widzenia”

Znów znalazł się na pustym chodniku. Deszcz nie przestawał padać, ulica pokryła się dużymi bąblami. Kolejny samotny wieczór, samotny powrót do domu. Do pustego, chłodnego mieszkania. Dosłownie pustego.

W dość dużej sypialni mieściły się jedynie masywne biurko z ciemnego drewna, stare, pojedyncze łóżko i okazałych rozmiarów szafa z lustrem. Jeśli chodzi o meble – to już koniec. Poza

tym w rogu stało jeszcze stare pianino. Na podłodze rozrzucone były sterty książek; zajmowały blisko połowę pomieszczenia. O pianino oparta była gitara. Rozbierając się w półmroku pokoju przewrócił ją. Ze zrezygnowaniem popatrzył w stronę, z której dobiegł głuchy trzask. Nie podniósł instrumentu, zupełnie nie przejmując się jego losem rzucił się na łóżko. Sen nie kazał na siebie długo czekać. Dzięki Bogu. Najgorsze są te chwile, kiedy w samotności przewraca się w pościeli nie mogąc zasnąć. Uświadamia sobie, jak bardzo jest mu źle. Sen traktuje jako swoiste ukojenie, azyl. Morfeusz wraz ze świadomością odbiera też strach i to zżerające od środka poczucie bezsilności. Zasnął. Jest dobrze.

Przenikliwy, głośny dźwięk budzika. Jak ona go nienawidzi. Staje się coraz głośniejszy, coraz bardziej warczy... Komórka tańczy już po stoliku nocnym, a jej uszy rozdierane są przez niemiłosierny pisk. Po dłuższej chwili, choć nie bez trudu, wyłącza go. Z powrotem jednak nie udaje jej się trafić na szafkę – urządzenie z hukiem upada na podłogę. Jeśli się zepsuł, to wyżyje się na nim do reszty... Będzie rzucać o ścianę. Z nienawiścią i szaleństwem w oczach patrzeć, jak poszczególne części kolejno odpadają. Prywatna, okrutna zemsta na urządzeniu, które każdego ranka w tak brutalny i bezwzględny sposób wyrywa ją z bezpiecznej krainy marzeń i snów.

Z trudem unosi powieki, zamglonym oczom ukazuje się szarość poranka. Tak prawdziwa, oziębła, przytłaczająca... Z wyrazem rozpacz na twarzy opuszcza łóżko. Po białej skórze przebiega dreszcz, otwarte całą noc okno dało o sobie znać. Wstając, potyka się o rozrzucone po podłodze ubrania. Po ciemku udaje się w stronę łazienki. Zasuwa drzwi ciasnej kabiny prysznicowej, a ciepły strumień wody leje jej się

na głowę. Po chwili na plastikowych ściankach osiada para, reszta unosi się w górę, ku sufitowi. Na moment zamyka oczy, do płuc dostaje się gorące od wody powietrze. Jest tak dobrze... I znów wewnętrzny spór. Rozsądek każe już skończyć, wcześniej zmuszał do wyjścia z łóżka. Rozleniwione zmysły błagają potulnie, by została jeszcze chwilkę. Podobno na rozsądku wychodzi się lepiej. Owija się w związek z tym w ręcznik i udaje w stronę szafy. Po drodze włącza radio. Spiker wygłasza właśnie monolog o tworzących się w centrum korkach. Kiedy udaje jej się już skompletować ubranie, postanawia zasiaść do śniadania. W lodówce jest tylko masło i wa jogurty. Otwiera jeden i je opierając się o mały stolik kuchenny. Kiedy kończy, drugi wrzuca do dużej materiałowej torby.

Na schodach starego, czteropiętrowego bloku słychać stuk obcasów młodej dziewczyny. Po drodze zapina płaszcz. Wychodzą na zewnątrz; nakłada czarny beret. Spod wełnianego placka wylewają się rdzawe włosy do ramion. Duży, elektroniczny zegar umieszczony na jednym z uniwersytetów pokazuje 7:03. Dziewczyna z uporem omija kolejne kałuże. Mija przechodniów, studentów, zakonnic... Nic nie znaczące twarze ludzi, których nigdy nie pozna.

Znów zaczyna padać. Ulica nie wyschła jeszcze od poprzedniego wieczora. Ciężkie, zimne krople rozpryskują się na brudnym chodniku. Lubi deszcz. I śnieg. To jedyne, co jej spada z nieba, prosto na głowę. Przypomina jej się Deszczowa Piosenka, zaczyna podskakiwać, zdejmując beret, obraca się dookoła własnej osi. Przechodnie patrzą, bulwersują się, przytykają palec wskazujący do czoła w znanym nam wszystkim geście. But, she's singing in the rain... Niedługo przestanie padać. Już nic nie spadnie jej z nieba, prosto na głowę.

świr

Fenomen wampirów...

Dla wielu czytelniczek w całej Polsce 25 marca był długo wyczekiwany dzień. O godzinie 6³⁰ w wybranych księgarniach w całym kraju odbyła się premiera książki *Przed świtem* Stephenie Meyer. Premiera ostatniego tomu wampirzej sagi nie była jednak tak huczna jak np. premiery Harry'ego Pottera, które gromadziły dziesiątki fanów w kilku księgarniach w mieście. Otwarcie księgarni nastąpiło z lekkim opóźnieniem i zebrało tylko kilkanaście osób. Zawiodłam się na klimacie w jakim książka została sprzedawana (porównując ze wcześniejszymi premierami Pottera) i z gadżetami, które miały dostać pierwsze czytelniczki. Choć może nie powin-

nam narzekać, bo jako pierwsza czytelniczka w Lublinie dostałam rabat i plakat kinowy. ^^ To jednak nie zmieniło mojego nastawienia i przeświadczenia, że nigdy więcej taka okazja się nie powtórzy, bo *Breaking Dawn* to ostatni tom sagi. Książka rozeszła się, jak na polskie realia, w olbrzymim nakładzie 175 tys. egzemplarzy. Wydawcy chcieli

uniknąć sytuacji, które miały miejsce przy pozostałych tomach, a które to w niebywałym tempie znikwały z półek. Nie sposób nie skojarzyć fenomenowi *Zmierzchu* z mającym miejsce parę lat wcześniej szaleństwem na punkcie książek o nastoletnim czarodzieju. Jednak obie książki bardzo różnią się od siebie. Przede wszystkim *Zmierzch* skierowany jest to nastolatek i to one

są głównie czytelniczkami Meyer. Historia miłości nastolatki z przystojnym wampirem oczarowała dziewczęce umysły. Nie dziwi zatem, że w USA sprzedano ponad 22 miliony całej serii, a na świecie ponad 42 miliony. Inne przykłady szalonej popularności sagi to krążące po Internecie, nielegalne tłumaczenia *Przed świtem*, aktywność fanów na forach internetowych i stronach poświęconych autorce czy setki próśb od czytelniczek, aby wydawnictwo zaprosiło Stephenie Meyer do Polski. Akurat tego żądania spełnić się nie udało. Najbliższy wolny termin autorki przypada na... 2010 rok. Pisarka odmówiła nawet podpisania kilku książek dla fanów z Polski. Jest zajęta.

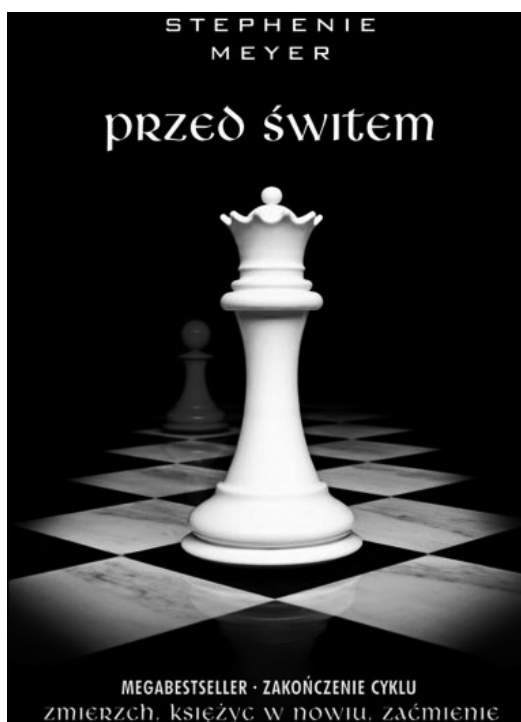
A jeszcze cztery lata temu nikt o niej nie słyszał. Stephen King bezceremonialnie nazwał ją beztalenciem, a krytycy podzielili jego opinię. Stephenie Meyer to dziś niekwestionowana królowa literatury. Ten, kto przewidział, że wymyślona przez nią historia zakazanej mi-

łości nastolatki do wampira okaże się wydawniczym hitem na całym świecie, teraz triumfuje i zarabia krocie.

Stephenie Meyer, podobnie jak główna bohaterka jej powieści – Bella Swan, dorastała w Phoenix, w stanie Arizona. Ma pięcioro rodzeństwa: Setha, Emily, Jacoba, Paula i Heidi (jak sama przyznała, użyczyli jej imion dla bohaterów sagi). Należy do

Kościół Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich (jego członkowie popularnie nazywani są mormonami). W jednym z wywiadów Meyer mówiła, że pomysł na napisanie pierwszego tomu przyszedł jej do głowy w 2003 r. Wtedy to zapisała swój sen, który stał się trzynastym rozdziałem książki. Po napisaniu i poprawieniu powieści podpisała umowę na trzy książki ze spółką *Little, Brown and Company* na 750 tys. dolarów. Teraz jest jedną z najbardziej wpływowych kobiet w USA, a jej zyski znacznie się zwiększyły. Pierwsza z części cyklu *Zmierzch* została wydana w USA w październiku 2005 (w Polsce 1 stycznia 2007). W listopadzie *Zmierzch* znalazł się na piątym miejscu na liście bestsellerów *New York Timesa*. W 2007 roku jedno z opowiadań Stephenie znalazło się w zbiorze *Prom Nights from Hell*. Kolejne wydania książek nie obyły się bez chwytów marketingowych. Specjalna edycja *Księżyc w nowiu* miała dodatkowo tatuaże, plakat z dokładką trzeciej części oraz jej pierwszy rozdział. Wyszło również specjalne wydanie *Zaćmienia* zawierające okładkę czwartej części *Przed świtem* i jej pierwszy rozdział oraz napisy na koszulki „Team Edward” i „Team Jacob” (czego nie robi się dla pieniędzy, prawda?). Marketing zrobił swoje – dzięki czemu wszystkie trzy części spędziły na topiście *New York Timesa* aż 143 tygodnie. W 2008 r. Meyer wydała kolejną powieść, tym razem niezwiązaną ze *Zmierzchem*, pt. *Intruz*. Planuje napisanie dwóch kolejnych tomów tej serii.

Pod koniec roku ma być również wydane *The Twilight Saga: The Official Guide* - która będzie oficjalnym przewodnikiem po wszystkich częściach *Zmierzchu*. Meyer rozpoczęła również pisanie piątej części sagi, pt. *Midnight Sun*, mającej być pierwszym tomem widzianym z perspektywy Edwarda. Na skutek wycieku do Internetu dwunastu rozdziałów nieedytowanej części powieści, pisarka



oficjalnie zawiesiła pracę nad owym projektem.

Stephenie Meyer prowadzi także osobliwą kampanię reklamową swoich ulubionych zespołów muzycznych (umieszczanie na swojej stronie utworów czy wręcz całych dyskografii będących dla niej inspiracją). Stephenie jest wielką fanką zespołu Muse. Wyznała fanom, że koncert, który odbywa się w trzeciej części sagi to właśnie koncert tego zespołu i że niektórzy z głównych bohaterów są ich fanami. Jak sama twierdzi, jej twórczość jest silnie związana z muzyką oraz dziełami literackimi takimi jak *Dziwne losy Jane Eyre*, *Wichrowe wzgórze*, *Duma i uprzedzenie*, *Romeo i Julia* czy *Sen nocy letniej*. W każdej części łączy akcję z daną książką.

Pierwsza część sagi *Zmierzchu* została zekranizowana. Reżyserem została Catherine Hardwicke, a dystrybucją zajął się Summit Entertainment. Główne role zagrali Kristen

Stewart i Robert Pattinson (który z dnia na dzień stał się bożyszczem nastolatek). Wystąpiła tam również Stephenie Meyer – gra kobietę zamawiającą sałatkę wegetariańską w barze, w którym jada Bella i jej ojciec. Po premierze film wywołał istną euforię wśród amerykańskich nastolatków, choć krytycy nie zostawili na nim suchej nitki, krytykując brak wyrazistych postaci, schematyczność i przerysowanie na granicach groteski (z podobnymi zarzutami spotyka się także książka). Pomimo krytyki film osiągnął niebywały sukces. W ciągu pierwszych dni wyświetlania zarobił w USA 70,3 mln dolarów. W ciągu pierwszego tygodnia ekranizacja powieści Stephenie Meyer zarobiła 103 202 346 dolarów. Wszystko co było związane z owym filmem rewelacyjnie się sprzedawało. Zostały wydane dwie płyty z soundtrackiem. Pierwsza z muzyką popularną, a druga z muzyką filmową. Ta pierwsza

płyta zadebiutowała na pierwszym miejscu listy *Billboardu* i w pierwszym tygodniu została sprzedana w ponad 165 000 kopiach. Trudno się dziwić, że Summit Entertainment oficjalnie potwierdziło powstanie kontynuacji filmu. Premiera w USA (ale również i w Polsce) przewidziana jest na 20 listopada 2009 r.

Szał marketingowy dotarł również do Polski. Z każdej strony zalewają nas przeróżne gadżety, które wg dystrybutorów bez problemu sprzedadzą się przez niemyślącą młodzież. Nastolatki obsesyjnie wzdychają do Edwarda/Roberta Pattinsona, powstają przeróżne strony i fora internetowe, a szal zdaje się nie mieć końca. Może jednak warto dostrzec dobre strony tego zjawiska? Wydaje mi się, że w czasach, gdy coraz mniej ludzi czyta książki i interesuje się literaturą, zjawisko czytania wśród młodzieży daje nadzieję, że nie wszystko jeszcze stracone.

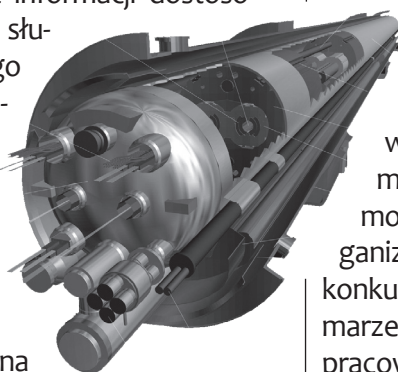
Lizka

■ Czarna dziura na Skłodowskiej

Wbrew pozorom dla niektórych brzmi to obco. Gwoli przybliżenia tematu Drogiemu Czytelnikowi – jest to Europejska Organizacja Badań Jądrowych istniejąca już od 1954 r. Nie, nie! Nie przekraczajcie strony! Nie jest to tak nudne jak brzmi. Pracownicy CERN-u i studenci wydziału fizyki UMCS udowodnili to niedawno na lubelskiej wystawie, która odbiła się głośnym echem również w murach naszej szkoły. Od 9 do 17 maja w gmachach biblioteki uczelni można było zobaczyć pomniejszone modele akceleratorów (łącznie ze znajdującym się pod Genewą LHC!). Wszystkie klasy o profilu mat – fiz miały możliwość zwiedzenia obiektów wraz z opiekunami w ramach zajęć szkolnych.

Przedsięwzięcie okazało się dość interesujące – nawet dla takiego laika jak ja. Wystawa w większości była interaktywna, jakkolwiek nie za-

brakło tradycyjnych elementów. Przy każdym z „eksponatów” zwiedzający natykali się na przejętą swoją rolą i zafascynowanego pracą pana fizyka lub panią fizyczkę;) Poziom wypowiedzi oraz ilość informacji dostosowane były do słuchacza, dlatego wszyscy, którzy wyszli, byli w pełni usatysfakcjonowani. Dla każdego coś się znalazło. A jeśli na wystawę nie przyciągnęła niepołączona namiętność do odkrywania tajemnic materii, to i tak na pewno zainteresowało coś innego. Nudzić się było nie sposób, zwłaszcza dzięki przygotowanym atrakcjom. Była to między innymi możliwość uczestnic-



twia w doświadczeniach fizycznych – począwszy od liczenia długości fali za pomocą czekolady, a skończywszy w gigantycznym pudle składającym się z sufitu, dywanika i kilku rur, mającym za zadanie podanie liczby mionów przechodzących przez ciało „króliczka” w danej chwili.

Wiedza, zarówno teoretyczna, jak i zdobyta za pomocą eksperymentów z udziałem własnego ciała – nie poszła na marne. Opuszczając wystawę można było wziąć udział w organizowanym przez UMCS i CERN konkursie. Nagrodą nie jest niestety marzenie wielu z Was – tj. możliwość pracowania tam w przyszłości – ale nowoczesny laptop. Myślę jednak, że i to mogłoby zadowolić.

Miejmy nadzieję, że komuś z naszej szkoły się poszczęści i zdobytą w niewątpliwym stresie nagrodą będzie mógł pochwalić się wśród kolegów.

świr

Ostatnio w Lublinie sporo się **działo** grało

Lubelskie Dni Kultury Studenckiej 2009 ... lub prościej mówiąc – koncerty, na których pobawić może się każdy, mimo iż jest to święto studentów. Od 6 do 21 maja mieliśmy okazję uczestniczyć w wydarzeniach muzycznych, gdzie każdy zapewne potrafił znaleźć coś dla siebie. Mogliśmy poskakać w rytmie reggae, disco polo i rocka.

8 maja w Muszli Koncertowej zagrał Audiofeels i Afromental - zespoły dopiero rozpoczynające swoją karierę. Mimo to przybyło wielu i tylko nieliczni zrezygnowali z kupna biletów, decydując się tym samym na oglądanie sceny zza siatki. To jednak nie oznaczało braku dobrej zabawy. Do Parku Saskiego szłam tylko z jedną myślą - Otherside. Musiałam jednak poczekać, bo najpierw wystąpił zespół Afromental. Posługując się opinią Justyny, powiem, że: „koncert bardzo mi się podobał. Super energia. Dali czadu. Radio Song i Botycall to ich najlepsze piosenki, przy których nogi (i cała reszta) rwą się do tańca. Poza tym uważam, że strasznie fajnie brzmią na żywo, nawet miejscami lepiej niż w wersjach studyjnych. Ogólnie bardzo pozytywnie wspominam ich występ.” Następnie na scenie pojawił się Audiofeels. Zespół zrobił

na mnie wrażenie nie tylko dzięki atmosferze, którą stworzył już na początku, ale także po raz kolejny zaskoczył swoimi umiejętnościami. Wszyscy dobrze wiedzą, że chłopaki nie grają, ale tylko i wyłącznie śpiewają. Niesamowite jest zobaczyć ich w akcji na żywo. Wykonali sporo hitów. Od Billie Jean Michaela Jacksona, po Metallicę. A śpiewanie z nimi Otherside – bezcenne.

W tym samym czasie na Felinie (czyt. na końcu świata) koncertował zespół Strachy Na Lachy. „Pogo na pół goła. Dużo toalet. Długi bis i masa nowych znajomych”. – Tak niektórzy wspominają koncert.

9 maja - Lublin Reggae Stolica Open-Air. Podobno stolica reggae leży na wschodzie. Być może. Tak czy inaczej ludzie lubią muzykę, która wyzwala tyle pozytywnej energii. Wrażenia po koncercie? „Zacznę słuchać reggae!”

W niedzielę około godziny 20.00 na ulicy Chodźki koncert rozpoczął zespół Zabili Mi Żółwia. Nie ukrywajmy, niektóre grupy mają to do siebie, że nieważne, w jak okropnym nastroju byś był, oni ci humor poprawią! Muzyka wyzwalała jak najlepsze emocje rozgrzała przybyłych, by następnie odpłynąć w romantyczną podróż muzycznej wrażliwości. Przepraszam, ale takie uczucia rodzi u mnie sama myśl o zespole Myslovitz, a na ową grupę czekałam od roku. A ta cała banda z Rojkiem na czele miała zagrać zaraz po Koniec świata. Gdy dźwięki zaczęły cichnąć, a było to koło godziny 22.00., wielu przybyłych powoli i z wielką trudnością próbo-

widzów (a raczej: namiętnych tancerzy pogo) umilały piosenki znane chyba wszystkim. Z każdym utworem miało się coraz mniej siły i głosu. Energii jednak nie brakowało. Największe wrażenie zrobił na mnie moment, gdy śpiewaliśmy piosenkę Długość dźwięku samotności. Rojek przekazał pałeczkę widowni – odwrócił mikrofon w stronę widzów, a ci świetnie sobie poradzili z zaśpiewaniem całej piosenki od początku do końca bez jego pomocy. Na bis wyczekiwane Dla Ciebie i Scenariusz dla moich sąsiadów. Następnie krótkie „dziękuję”.

14 maja zagrał Jamal. „Wy-padli super. Plusem na pewno jest to, że Miodu był blisko z publicznością. Rzucił różne anegdoty na temat miłości, a kilka razy wspominał nawet o swojej dziewczynie.”

Big Cyc zagrał 15 maja na ulicy Kraśnickiej. Jak było? Podobno fantastycznie. Świetna atmosfera (i pogoda też). Big Cyc dał dobry koncert, a Skiba jak zwykle nie oszczędzał się w zabawianiu ludzi.

16 maja - T.Love, Farben Lehre. „Za maaaaało miejsca zdecydowanie i co się z tym łączy - mało to-i-toiów, więc dziewczyny miały spory

problem. Chłopaki sobie rozdali. A co było fajne? Hmm... T.Love był fajny. Ponoć Farben Lehre

też dobrze grali, ale trochę za późno przyszedłem, więc nie wiem czy to prawda”.

21 maja atrakcją wieczoru był Dżem i Kult. Nie wiem, czy tylko ja miałam takie wrażenie, ale czułam się jak na koncercie Wo odstock (choć na takowym nigdy nie byłam). Scena, pole i ludzie, jak nieskaczący to siedzący po turecku na trawie. Dobra atmosfera i klimat



wało dostać się pod samą scenę. Możecie im pogratulować. Dotarli! Kilka nabitych siniaków i dostanie z glana w twarz od kogoś latającego w powietrzu. Mimo wszystko było kulturalnie i karetka po nikogo (chyba) nie przyjechała. Aczkolwiek mogłam nie zauważyć. Cała moja uwaga była skupiona na wokaliście. Nie mniej, czas utrudnionego oddychania w rozpalonym tłumie

to podstawa. Na szczęście, przeszerzeni za „Polibudą” było trochę więcej niż przybyłych, więc mimo iż był to (chyba) największy w tym roku koncert w Lublinie, wszyscy się spokojnie pomieścili. Miałam uczucie, że ludzie rozkręcili się dopiero, gdy zaczął grać Kult. Było świetnie! Kazik sywał hitami z rękawa. Gdy nie ma dzieci, Baranek, Arahja, Pasażer i wiele innych. „Super ludzie, a sam Kult grał fantastycznie. Na Kulcie trzeba być, bo Kult jest kultowy! Przyciąga samym echem. Fajnie zobaczyć na żywo tych, których dotąd słyszałaś tylko przez głośniki.”

W Lublinie miało miejsce jeszcze sporo koncertów i, jak już wspomniałam na początku, słychać było muzykę nie tylko tę rockową. I nieważne ile kaw (lub innych środków wspomagających) byś wypił, nieważne ile razy byś sobie mówił „mam jeszcze czas, żeby się wypać” – nie dałbyś rady być na nich wszystkich. Wiadomo, że wybiera się swoje ulubione zespoły i ich się idzie posłuchać. Ja i kilku recenzentów, którzy mi pomogli, wybraliśmy te.

Kult był ostatnim koncertującym tutaj zespołem. Koniec. Niestety. Pozostają tylko niezapomniane wspomnienia i piosenki, które wciąż chodzą po głowie i nie mogą z niej wyjść. Trzeba poczekać rok. Lubelskie – i obojętne, czyje – Juwenalia to wprawdzie nie Open'er Festival (nie mogę przeżyć!), ale mają w sobie coś. Dobra polska muzyka i niczym nieskrępowana zabawa ma prawo bytu nawet tutaj. A co najważniejsze, chcesz ciągle więcej i więcej. Jak oceniam tegoroczny maj? Zdecydowanie na plus. Taniec i muzyka na świeżym powietrzu to to, co lubimy najbardziej.

Dziękuję Justynie, Pawłowi, Michałowi, Piotrowi, Oli, Kasi, Patrycji, Jo. i Dorocie, którzy udzielili mi kilku opinii na temat owych koncertów, a tym samym przyczynili się do tego, że ten artykuł wygląda... jak wygląda.

Claudia

■ Narodziny turystyki kosmicznej

Uważam, że ten tytuł może zainteresować nawet rzekomego czytelnika, który przeglądając kolejne strony gazetki szkolnej wodzi swym wzrokiem tylko po nagłówkach niniejszych artykułów. Zatrzymując się na tym artykule, przeczyta on tekst niczym z magazynu popularnonaukowego. Ale przecież właśnie taka nauka jest najprzyjemniejsza. Ciśnie się teraz na usta pytanie: czy ów czytelnik zagłębi się w tekst, jeżeli powiem, że ogromny kosmos już niedługo otworzy swe wrota nawet przed nim?

Tak czy inaczej, ty, wierny czytelniku zgłębiający tajniki każdego publikowanego tu tekstu, zapewniam cię, że i ten artykuł przeczytasz z zafascynowaniem. Zastanawiając się dłużej można by rzec, że twoje emocje mogą być nawet bliskie lęku spowodowanego pewnymi obawami. Technologia, która zawładnęła tym światem i jej postęp, sprawiła, że nasz świat przeszedł już samego siebie. I to w dosłownym znaczeniu tych słów. Czy opuścimy naszą rodzicielkę Ziemię i przeniesiemy nasze życie do czarnego bezkresu, a dokładniej – na orbitę?

Zapewne po przeczytaniu powyższych zdań wydaje ci się, czytelniku, że mój głos w tej sprawie jest negatywny. Jeśli tak, to się mylisz. Nie mam także najmniejszego zamiaru rozdrabniać się i przedstawiać wam korzyści, jakie płyną z podróży w kosmos. To nie jest tematem tego tekstu. Napisać chcę o komercyjnych lotach kosmicznych organizowanych dla osób kompletnie niezwiązanych z kosmonautyką. Ja zatem jak dziecko cieszę się z zabawki widniejącej na sklepowej wystawie i sycę umysł wyobrażeniem o jej posiadaniu.

Już od dawna się o tym mówiło. Ja mogę powiedzieć, że raczej marzyło. Lecz teraz stało się to realne, a dokładnie: realnym stanie się za około rok. Jednak rezerwacji można dokonać już dziś. Zaczynam odkładać kieszonkowe! Może do 2011 roku uzbieram te 95 tysięcy dolarów, by móc uczestniczyć w locie kosmicznym. Taką cenę oferuje firma Xcor Aerospace. Pierwszej rezerwacji dokonał Duńczyk Per Wimmer. Pojazd suborbitalny umożliwi klientowi oglądanie kosmosu i Ziemi przez wielką przednią szybę na siedzeniu tuż obok pilota. Lynx, bo taką

nosi nazwę ten wehikuł, wzniesie się na wysokość 61 km. Siedząc w dwuosobowym małym samolociku będzie można naprawdę dostrzec, że Ziemia jest kulą, którą otacza cienki niebieski pasek atmosfery. Oczywiście będzie się można nacieszyć także obrazem bezkresu czarnego i wielce fascynującego kosmosu. Cała wycieczka ma trwać pół godziny, w tym około minuty w stanie nieważkości. Wychodzi tylko półtora tysiąca za sekundę bez grawitacji. Ale kto liczy się z kosztami w obliczu takiej niezapomnianej przygody? Dodatkowo, w cenę biletu wliczony jest pięciodniowy pobyt w hotelu na pustyni Mojave w Kalifornii. W tym luksusowym miejscu śmiałek przygotowuje się do lotu, a potem odpoczywa po nim.

Firma Virgin Galactic sprzedaje bilety po 200 tysięcy dolarów. Mimo to chętnych nie brakuje. Zaliczki wpłynęły już od dwustu osób. Loty statkiem SpaceShipTwo będą wyglądały nieco inaczej niż u konkurencji. Przede wszystkim w wycieczce będzie mogło uczestniczyć sześciu turystów. Ci polecą na wysokość aż 110 km, lecz kosmos będą mogli obserwować tylko przez niewielkie boczne okienka. Przewidziane jest 6 minut w stanie nieważkości. Pierwszy lot odbędzie się już za rok.

Pojawianie się konkurencji (a tej jest coraz więcej) sprawi, że ceny wycieczek na orbitę będą taniały. Chyba nikt nie pogardzi orbitalnym ślubem, lotem w przezroczystej kuli, orbitalnym hotelem czy rockowym koncertem na orbitalnej stacji. A to wszystko bez siły grawitacji!

Widać, że marzenia z dzieciństwa mogą się spełnić. Niepoznanego nigdy do końca kosmos fascynuje od zawsze, przynajmniej mnie.

Dokładniej na ten temat przeczytasz w Focusie z lutego 2009. Jeśli jednak, z przyczyn mi nie-

znanych, nie zdołałeś nabyć tej gazety, ja przybliżam ci tutaj jeden z artykułów, któremu poświęciłam najwięcej mej uwagi.

Claudia



Oto przed Państwem eksperymentalna próbka nowej serii wywiadów, którą planujemy na następny rok szkolny. Uczeń – człowiek sukcesu – to seria, która powstała z myślą o Was. Odlotowe Agentki zamierzają przeprowadzić serię wywiadów ze zdolnymi uczniami „Piątki”. W tym numerze zapraszamy do zapoznania się z historią beatbox’u – opowiedzianą przez mistrza Lubelszczyzny i naszego kolegę, Łukasza Romańczuka (Romka) – oraz kulisami występów w „Szansie na sukces”, w której gościła Agnieszka Chrzostowska.

Agnieszko, jak długo zajmujesz się muzyką? Kiedy stała się Twoją pasją?

A: Śpiewałam od najmłodszych lat. Można powiedzieć, że wcześniej śpiewałam niż mówiłam <śmiech> Już w podstawówce należałam do zespołu „Dzieci z Brodą”. Chodziłam również do szkoły muzycznej. Ukończyłam I stopień. Zawsze lubiłam sobie podśpiewywać.

Grasz na jakimś instrumencie?

A: Tak, gram na fortepianie.

A ty Romku? Kiedy zaczęła się twoja przygoda z beatbox’em?

R: Hmm, muszę przyznać, że jest to dość trudne pytanie. Parę lat temu, może była to szkoła podstawowa, początki gimnazjum. Na pewno były to wakacje. Byłem wtedy na obozie młodzieżowym. Kiedy podróżowaliśmy, w pewnym momencie usłyszałem sympatyczną melodię, którą, jak się później okazało, jeden z uczestników wycieczki wydawał z siebie przy pomocy ust. Zafascynowało mnie to od samego początku. Początkowo nie miałem pojęcia jak to jest trudne, nie miałem pojęcia o technice, ale sama melodia na długi czas utkwiła wśród moich myśli. Po paru latach zacząłem owego kolegę nieudolnie naśladować, budząc jednak sporą sensację z tym swoim marnym poziomem. Poznanie profesjonalistów sprawdziło mnie na ziemię. Uświadomiłem sobie, że tak naprawdę nic nie potrafię i wziąłem się do roboty...

Sukces każdego z was, ma wymiar po-niekąd komercyjny. Agnieszko, jak trafi-łaś do „Szansy..”?

A: Już wcześniej myślałam o tym, żeby

zgłosić się do tego typu programu. Na stronie internetowej „Szansy...” była ankieta, w której można było głosować na miasto, w którym miał się odbyć casting do programu. Na Lublin głosowało bardzo dużo ludzi i udało się. A gdy dowiedziałam się, że casting jednak się odbędzie w Lublinie, pomyślałam, że warto jest spróbować. Zawsze chodzę z podniesioną głową i uważam, że warto próbować swoich sił. Poszłam, zaśpiewałam. Szybko się do mnie odezwali, po 3 dniach. Wysłali mi płytkę i zaproszenie do programu. Bardzo się ucieszyłam, że mi się udało :) Dostałam się do programu z zespołem „Babsztyl”.

Castingi odbywały się dość późno. Niektórzy mieli przydzielone przesłuchanie dopiero na 2. w nocy. Jak to było z Tobą?

A: Zapisy były od 10., ale niektórzy czekali na wejście nawet od 5 rano. Ja przyszedłam o 8 i na przesłuchaniu miałam nr 299.

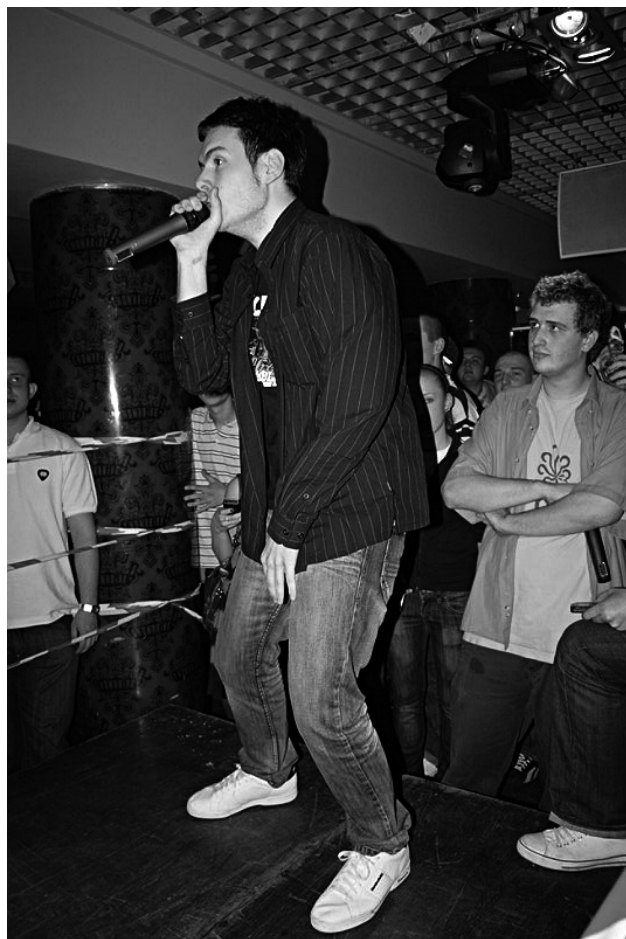
Romku, jak twoje drogi skrzyżowały się z PRObeatboxem?

Podczas zeszłorocznej Nocy Kultury zobaczyłem, że w Radiu Lublin są organizowane warsztaty beatboxowe. Pojechałem tam z kolegą, który jest freestyleowcem lubelskiego podziemia, takim moim promotorem. Był zawsze, gdziekolwiek się z nim pojawiałem („To jest Romek, on robi beatbox”) i również tej pamiętnej nocy pojechał ze mną, by dodać mi otuchy. Siedziałem podczas warsztatów i myślałem: „Kurczę. Gdybym tylko mógł spróbować swoich sił na mikrofonie”. Moja motywacja była silna, warsztaty prowadzili chłopaki z Al’fatnujah Wreszcie zapytali, czy ktoś może nauczył się czegoś na tych warsztatach i czy chce spróbować. Kolega mnie wypchnął, „Idź, idź, pokaż im”. Wziąłem mikrofon, dobry nie byłem, ale pewien poziom już wtedy reprezentowałem, no i chłopakom po prostu opadły szczęki. Dostałem od nich zaproszenie na koncert z cyklu

impres chonabibe. Później natomiast okazało się, że w klubie organizowane są mistrzostwa Lubelszczyzny, ogólnie związane z kulturą a hip-hopową. Były tam pojedynki DJ, MC, B-boyów no i beatboxerów. Dowiedziałem się o eliminacjach i pomyślałem, że wystartuję. Na początku marzyłem, by po prostu wyjść na scenę i pokazać się z dobrej strony. Towarzyszył mi spory stres. Wcześniej nie bywałem często na scenie. Może gdzieś tam w szkole, ale to nie to samo. Tam byli ludzie, którzy naprawdę znają się na beatboxie, jedni z najlepszych w Polsce, może w Europie. Niewielu mamy na Lubelszczyźnie beatboxerów, którzy mają skillsy i odwagę ażeby się pokazać. Wyszło nieźle, zdominowałem eliminacje, byłem w szoku, przeszedłem dalej. A finały... Wspaniały doping, świetni ludzie, niezły poziom, wszystkie bitwy do przodu i jakoś tak wyszło, że zostałem... mistrzem (śmiech).

Agnieszko, ty też miałaś dużą konkurencję...

A: To prawda. W Lublinie na castingu była około 1146 osób. Było dużo ludzi dobrze śpiewających. Słychać było na korytarzach.



Jakie wrażenia wywarł na Tobie program „Szansa...”? Jak się Tobą zajmowali?

A: Było bardzo fajnie. Miałam stylistkę i fryzjera. Całą obsługę była bardzo sympatyczna. Bardzo kontaktowi ludzie. Nie było kłopotów z poproszeniem o coś, itd. Na planie jest miła atmosfera. Poznałam również fajnych ludzi – uczestników programu.

Miałaś okazję porozmawiać z Wojciechem Mannem?

A: Poza wizją nie miałam możliwości porozmawiać z nim na osobności. Cała nasza rozmowa była w telewizji.

A z zespołem?

A: Kiedy wychodziłam już do domu, jeden członek zespołu zaczął mnie i powiedział, że zaprasza jeszcze raz do programu. To było trochę dziwne, bo przecież on nie ma wpływu na to, kto dostanie się do następnych odcinków. Może chciał po prostu zagadać i to było miłe. Po drodze spotkałam panią Skrętkowską, która się do mnie uśmiechnęła.

Romku, to, co robisz, odbiega od tradycyjnego wyobrażenia o muzyce. Powiedz nam proszę, co to jest beatbox?

R: To jest pytanie, które beatboxerzy uwielbiają (śmiech). Jest standardowa już odpowiedź na to pytanie. Beatbox jest to po prostu plucie, które zostało podniesione do rangi sztuki. Wydawanie dźwięków łudząco podobnych perkusji, ale również innych instrumentów czy elektroniki. Ogólnie jest to tworzenie muzyki przy pomocy aparatu mowy.

Skąd wywodzi się beatbox, kiedy zaczęli działać pierwsi beatboxerzy?

R: Nie czuję moralnej odpowiedzialności do tego, by opowiadać o początkach. Jestem przedstawicielem młodego pokolenia bb. Nie byłem świadkiem tych wydarzeń, więc mogę zabrznieć trochę jak narrator trzecioosobowy (śmiech). Początki bb znam jedynie z opowieści, wywiadów. Generalnie jest taka teoria... Beatbox wywodzi się po prostu z getta. Ze slumsów, z najbiedniejszych dzielnic murzyńskich, gdzie mieszkali ludzie, których nie stać było na chleb, na picie, więc tym bardziej nie stać ich było na instrumenty. Dlatego wymyślili, że będą wykorzystywać do grania własne usta. Nie

wiem, czym się inspirowali. Czy też upadłymi na ziemię pieczarkami czy może woda przepływająca w rurach – po prostu zaczęli sami tworzyć muzykę. Mówienie o genezie bb nie jest więc zbyt pedagogiczne. Na pewno trzeba być dumnym z tego, że bb ewoluował do tego stopnia, że teraz jest postrzegany jako element kultury. Moje początki były inne.

Miałaś pieniądze na...?

R: Narkotyki, instrumenty, a jednak wybrałem beatbox (śmiech).

Co sądzisz o karierze Błatego Krisa?

R: Błatego podziwiałem już od początku jego kariery. Wśród beatboxerów i tak był znany. Był mistrzem Polski w 2005 r., więc jego kariera nie zaczęła się wraz z programem „Mam talent!”. Wziął udział w programie... jak on sam mówi, po to, by wypromować beatbox.

Czy jest on dla ciebie jakimś wzorem?

R: Może być wzorem pod względem obycia scenicznego, pewności siebie. Ma niesamowite doświadczenie. Natomiast jeśli chodzi o jego styl... szczerze mówiąc nie przepadam za nim. Jego efekty specjalne, to zasysanie śliny, charkanie i tym podobne dźwięki. One są oczywiście zgrane, wypracowane i może nie powinienem tak ich nazywać, ale jakoś nie przepadam za tym. Moim zdaniem kopiowanie czy nawet wzorowanie się na innych wypacza twój własny styl. W muzyce można szukać inspiracji, naśladować ją, ale nie naśladować beatboxera, tworzyć własną muzykę, a nie odtwarzać bb innych, bo wtedy, nawet jeśli nie wykonujemy na scenie tych samych trików, jakie wykonywali inni, to podobieństwo w stylach jest bardzo widoczne i nie mile widziane, zwłaszcza w kręgu profesjonalistów. Osobiście nie wzoruję się na Bładym, chociaż jego kawałki mam osłuchane i darzę go sporym szacunkiem.

Mówiłeś o własnym stylu beatboxerów. Jak możesz określić swój styl?

R: Myślę, że po roku nie mogę jeszcze określić swojego stylu. Moją niewątpliwą domeną jest postęp. Wiele nauczyłem się



przez ten czas, ciężki trening swoje zrobił i skillsy wciąż rosną. Pucus podkreśla za każdym razem to, że mam kontakt z publicznością. To, co robię nie jest tylko czystym, technicznym odtworzeniem zaplanowanych motywów. Spontaniczność i niekonwencjonalność podobają się ludziom. Łączę wiele stylów muzycznych, a przede wszystkim moim atutem jest robienie coverów. Nieskromnie mówiąc niewiele osób w Polsce potrafi wydawać takie dźwięki... To są dźwięki przypominające trochę trąbkę. Dźwięk ten został ochrzczony przez moich znajomych „magiczną trąbką Romka”. Naśladowując zwykłą trąbkę masz jeden dźwięk, natomiast magiczna trąbka, wykonywana jest nie ustami, ale gardłem, przeponą, zębami, ścisaniem flaków – i to dzięki temu mogę dodawać do tego jeszcze dwie kolejne ścieżki. Wykorzystuję to w ten sposób, że odtwarzam melodie znanych piosenek dodając jeszcze beat. Tak, że nie jest to sama perkusja, ale perkusja z linią melodyczną. Myślę, że to jest właśnie mój styl.

Na twoim myspace jest kilka coverów. Na jakimś podstawie dobierasz repertuar?

R: Selekcja repertuaru jest złożonym procesem. Przede wszystkim najpierw edukuję się... Siedzę w temacie, mam oklepiane, obejrzałem wszystko, co się pojawia na świecie. Mój repertuar muszę weryfikować, ponieważ wiele dobrych piosenek, najlepiej nadających się do bb jest zwyczajnie zajętych. Jako, że nie chcę kopiować innych, muszę poszukiwać wła-

snych piosenek. Przede wszystkim nie opieram się na jakimś konkretnym stylu, gatunku muzycznym. Cytując L.U.C'a : „Słucham muzyki, a nie gatunków”. Jeśli coś wpadnie mi w ucho, ma jakąś fajną melodię, wielokrotnie staje się mi inspiracją. Mogę równie dobrze zrobić beatbox pod kawałki Krzysztofa Krawczyka jak i jakiegoś najczarniejszego Murzyna z getta. Beatbox nie ma granic, można stworzyć wszystko, jeśli tylko ma się do tego chęci, by ćwiczyć. Inspirację czerpię ze wszystkiego. Nawet siedząc w toalecie czy jadąc do szkoły, będąc totalnie zniechęconym do życia, mając w perspektywie osiem godzin biologii, chemii, fizyk... Ciesząc się jedynie z tego, że mam polski tego dnia <śmiech> i wtedy wystarczy jakiś przypadkowy wjazd autobusu na krawężnik, upadek siatki z pieczarkami, które wydadzą jakiś niekonwencjonalny dźwięk, by, dzięki takiej inspiracji, stworzyć coś nowego.

Co z twoimi własnymi produkcjami? Poza coverami na twojej stronie pojawiają się również próby własnej twórczości.

R: Generalnie wszystko jest moją twórczością. Nawet te covery.

Sprecyzuję. Wiemy już, skąd czerpiesz inspiracje – z pieczarek i rur w toalecie. Ale to jest inspiracja do dźwięków.

R: Heh. Te rury... Ludzie mogą pomyśleć o mnie jakoś źle. Moja toaleta ma konwencjonalny, kwiatowy wystrój, beżowe barwy przechodzące w odcienie jaśniejsze... A te rury ukryte są, jak u każdego chyba, w ścianach. To nie jest tak, że siedzę rano w toalecie, czytam gazetę i mam przed nosem rurę, z której może jeszcze coś cieknie. Proszę zamieścić sprostowanie.

Sprostowanie zostanie zamieszczone :) Chodziło o to, że inspirację do dźwięków bierzesz z dość prozaicznych rzeczy, które cię zachwycają. Natomiast skąd bierzesz teksty? Wiemy, że piszesz wiersze.

R: Inspiracje tekstowe... Nastrój, w jakim tworzę beatbox, a kiedy pisałem wiersze, jeśli tak już je nazwano, był zupełnie odmienny. Co prawda niektórzy nazywają mnie wieszczem narodowym XXI wieku, ale te parę lirycznych wersów, które mi się skrobnęły, nie czynią ze mnie poety. <śmiech> Miałem dość przykry okres

w życiu i potrzeba poezji sama się we mnie zrodziła. Pewnego dnia, kiedy emocje wychodziły ze mnie w przeróżny sposób i nie byłem w stanie dusić ich w sobie dłużej, pomyślałem, że przeleję myśli na kartkę i tak zacząłem pisać. Oł, sposób wyrażenia uczuć w lirycznej formie.

Masz jakiś pseudonim sceniczny?

R: Moim takim najbardziej znanym pseudonimem jest Romek. Ludzie mnie tak przedstawiają, zapisują na listach. Nie mają pojęcia o tym, że tak naprawdę nazywam się Łukasz. Pragnę przypomnieć, iż Romek jest jedynie moim pseudonimem artystycznym. Natomiast prawdziwi fani często wymyślają własne wersje, dodają np. epitety. Boski Romek, Super Romek, często jest kojarzony z Tytusem, Romkiem i Atomkiem, którzy też byli super. Przez jakiś czas funkcjonowałem jako Pykający Romek Poziomek. Był on moim abstrakcyjnym alter ego. A inne pseudonimy... Fanki zdrabniają podstawowe formy tych wyżej wymienionych (<śmiech>).

Agnieszko, czy podobnie jak Romek chcesz dalej rozwijać swój talent? Wiążesz z nim swoją przyszłość? A może wybierasz się na kolejne castingi?

A: Myślałam o tym. Zastanawiałam się nawet, czy nie pójść na kolejny casting do „Szansy...”. Bardzo lubię śpiewać. Jeżeli coś się robi i dostaje się potwierdzenie tego, to sprawia to jeszcze większą przyjemność. To, że dostałam się do programu, jest to dla mnie budujące. To daje człowiekowi napęd do dalszej pracy. To jest kop do tego, żeby dalej to robić. Jednak ten program traktowałam raczej jako bardzo dobrą zabawę i przygodę. Nie uważałam się za kogoś lepszego tylko dlatego, że się dostałam.

Jak czułaś się w piosence, którą śpiewałaś? Przypomnij nam jej tytuł.

A: To była piosenka pt. „Szykuj się bracie”. To trudna piosenka. Odstawała od pozostałych. Jest mało melodyjna i nie miałam możliwości czegoś szczególnego z nią zrobić. Bardzo ją zmieniłam, bo była zbyt monotonna. Była jedna powtarzająca się melodia. Starłam się zaśpiewać ją po swojemu. Inne piosenki bardziej by mi pasowały. W innych można było pójść na żywioł, śpiewać je z uśmiechem...

Jak się czułaś się w stylu country? Jak wiemy, w Jarząbkach śpiewasz zupełnie inny repertuar.

A: Kiedy dostałam płytke z „Szansy...” to byłam trochę podłamana. Piosenki tego zespołu są takie biesiadne. Tonacyjnie mi nie pasowały. Poza tym są bardzo melodyjne. Można się ich nauczyć, ale trudno w nich wykazać się. Ale jak się osłuchiłam i wypracowałam różne wersje to było o wiele lepiej. I podobały mi się.

W programie nikogo nie pozdrowiłaś...

A: Jak byłam na scenie to niby się nie stresowałam. Pamiętałam, żeby kogoś pozdrowić, np. nasze liceum, ale kiedy już tam stałam, zupełnie o tym zapomniałam. Przepraszam wszystkich. Teraz pozdrawiam całe nasze kochane 5 Liceum Ogólnokształcące. :)

Czy taki program to dobry sposób na rozpoczęcie kariery? Polecasz takie metody innym młodym ludziom?

A: Oczywiście! Uważam, że powinni próbować, bo jeżeli im się nie uda to nic się na tym nie traci. Nie można się poddawać. Jeżeli się dostaniemy – to fajnie, a jeżeli nie to trudno. Trzeba pójść na casting i spróbować swoich sił, a jeżeli się nie uda, nie można się załamywać. Należy podnieść głowę i iść dalej, bo kiedyś się uda. A jeżeli uznamy, że jednak to nie dla nas, to wtedy można zrezygnować.

W programie powiedziałaś, że wiążesz swoją przyszłość z biotechnologią lub psychologią. Czy na pewno nie chcesz rozpocząć muzycznej kariery?

A: Bardzo się waham. To mój wielki dylemat. Z jednej strony chcę iść w kierunku muzycznym, ale wiem, że to ciężki kawałek chleba. A biologię w miarę lubię i pomyślałam, że mogłabym jakoś to połączyć. Może pojadę do Katowic i tam spróbuję to pogodzić? Wiem, że studia biologiczne są trudne, ale przecież mogę spróbować :)

Obojgu Wam życzymy dalszych sukcesów i prężnie rozwijającej się kariery oraz dziękujemy za udzielenie wywiadu.

**Odlotowe agentki w składzie:
Lizka & Świr**

Siadła babcia na bujanym fotelu...

...i poczęła opowiadać dzieciom cuda swej młodości.

Pamiętam dzień opublikowania wyników maturalnych. Naturalnie o świcie nie było możliwości zalogowania się. O świcie to, dla uściślenia, o dziesiątej. W wakacje każda pora przed dwunastą to świt. Przepraszał mnie tylko mój komputer, że serwer chwilowo nieczynny... No tłumaczyłam staruszkowi, że wiem, że nie jego wina, tylko niechże coś zrobi, bo ja tu umieram na trzeci zawał. Bardziej umierała babcia, która modły za mnie odprawiała, a ja, mimo wszystko, miałam przyspieszoną akcję serca. W końcu, za którymś tam logowaniem, po tym jak na moim biurku pojawiła się wielka dziura w miejscu, w które uderzałam myszką, dostałam się do swojego konta.

Patrzę – jakieś liczby są. Patrzę dalej... Początkowe ani 1 ani 2 nie przypominają. Jest dobrze! Patrzę dalej... Nie no, zdałam ze wszystkiego! „Jesteś genialna, Kindzior!” – krzyczę w duchu. Później, jak już doczytałam się, jakie to liczby, okrzyk nieco się zmienił... Mniej więcej w „Ty skończony d...”. Myślę sobie dalej: „Zdałaś i to się liczy. Nieważne na ile. Zdałaś i jest super”. Skończmy jednak z tym myśleniem, bo jeszcze się przyzwyczaję.

Jakoś tak to było w tamtych czasach, że 1 lipca były wyniki matur, a do 3-go możliwość logowania na wybrane kierunki studiów. Jeden kierunek miałam upatrzony, zaklepany, zapłacony. Drugi był z zupełnie innej bajki, mijał się z rzeczywistością niczym Iran z demokracją. Po wynikach pomyślałam sobie, że spróbuję na jeszcze jeden, polecany. Bardziej chyba chciałam zatriumfować machając karteczką, że tam mi odmówiono. Młodzieńcza głupota. I był jeszcze jeden. Nie w Lublinie. I tutaj bałam się sama

sobie zatriumfować odmową. „Brawo Kindzior! Powalasz inteligencją!”.

To co, że logowanie się na kierunek kosztuje. Na głupoty miesięcznie tracę tyle samo co na jedno zalogowanie. Było się logować! Powiedzieliby, że nie chcą, no masz! Co za zawód! Ale do jasnej ch... większe się przeżywa. Biust do przodu, głowa do góry i idzie się dalej. Tylko jak się nie skorzysta z jakiejś szansy to głowa mimowolnie idzie nieraz w dół.

Pamiętam dzień wyników rekrutacji. Jako dziecko XXI wieku wszystko sprawdzam w Internecie. Logowanie poszło sprawniej. Patrzę na dwa kierunki na które składałam, pokazuje się, że mnie przyjęli. Ale myślę sobie: Nie... Pewnie to zmęczenie lenistwem, skutki jakiejś imprezy i ośle... płaś. A że sprawdzałam o 2. w nocy – to wszystko być może.

Ale czytać chyba jeszcze umiem! Nikogo polskojęzycznego w pobliżu nie było,

by czytał. Patrzę, już wyspana, wypoczęta, z kubkiem kawy... Wspominam ją jako lepką i aromatyczną, niezwykle mocną i taką, którą zawsze bym chciała mieć w ręczce i na dzień dobry. Dobra kawa to dobry dzień, dlatego zawsze trzeba uważać, co się pije, bo najgorsze to zacząć dzień od jakiejś lury, która konsystencją przypomina wodę z Czerniejówki, zapachem coś cierpkiego, a smakiem, oj, lepiej nie wspominać. Ach! Więc już wyspana, wypoczęta, pełna energii i z pyszną kawą w ręczce – sprawdzam raz jeszcze. Co za ludzie odpowiadali za tę rekrutację?! Dostałam się! Od tego dnia błogosławię wszystkim komputerom. Mogłam tylko spróbować na ten jeden nie-Lublin...

Przychodzę na uczelnię. Wszystko jest takie... poważne... takie nowo-stare. Łatam jak opętana nigdzie się nie zatrzymując, gubię się w durnym planie, bo przecież zapamiętać

w jakiej się jest grupie – to za dużo. Przeraza mnie to, że w bibliotekach nie ma książek, że nie mam wystarczająco dużo czasu, żeby wszystko przeczytać, chociaż nic prócz przygotowań na zajęcia nie robię. I jeszcze, k..., ten profesor jest taki inteligentny, że pewnie każde zajęcia to będzie pogrom. Viva la głupota!

Dziwnym zbiegiem okoliczności, wszyscy ci dr, dr hab. i wyżej, i niżej to też ludzie. Bezczelności nie lubią, ale zawsze można poudawać, że się coś wie.

Pierwszy tydzień na uczelni to wielkie oczy za każdym razem kiedy widzi się coś z pozoru dziwnego. Pierwszy semestr to jakaś durna wiara, że trzeba wszystko przeczytać. Pierwsza sesja to trzy zawały na każdy egzamin. No, ale sesję, na moje szczęście, są tylko dwie w całym roku. Jakiś „sympatyczny”, o którym chodzą legendy i który odpowiada za selekcje roku, jest tylko jeden na kierunku, a książki, już poza sesją, świetnie się czują na półkach bibliotek. Uczelnia jedynym życiem być nie może. Można podróżować na weekendach, można poznawać ludzi w organizacjach studenckich, można coś robić. Ważne, żeby z głową, żeby dobrze i żeby się czuło życie w każdym milimetrze ciała. Acz kocham wszystkich sumiennie przykładających się do zajęć, bo w końcu od kogoś kserować notatki muszę.

Pierwszy rok to osvajanie się z nową sytuacją. Czasami ja ją pogłaskczę, a ona mnie kopnie, czasami ona pogłaskczę, a ja się cieszę jak dziecko z przedszkola. Pamiętam, jak byłam młoda i durna i krzyczałam „Ja chcę wszystko jak najwięcej i ponad granice!” Nadal krzyczę. Co durne się urodziło – durnym pozostaje. Ale trzeba wytyczyć sobie główne cele i cele pośrednie, czasami z jednego rezygnując dla spełnienia tego „głównego”. Czasami trzeba przystanąć i pomimo bólu pomyśleć, czego ja tak właściwie chcę. I nie bać się tego. **Anastazja E.T.**



■ ■ Goodbye my 5, goodbye!

Będąc uczennicą Piątki marzyłam o tym, by mieć w przyszłości możliwość napisania paru słów do Łoży Absolwentów. Teraz mam taką okazję, ale zamiast zgrabnych, błyskotliwych myśli gotowych do przelania na papier mam w głowie jedną wielką mieszaninę różnych wspomnień, obrazów, dźwięków, uśmiechów. Nie wiem, jak to tutaj posklejać, nie wiem, czy uda mi się oddać wszystko to, co czuję. Jako absolwentka mogę powiedzieć co myślę bez obawy posądzenia mnie o podlizywanie. :-) A myślę, że to były fantastyczne lata. Pewnie, że nie zawsze wszystko się układało, nie było łatwo, jednak nawet w gorszych chwilach nigdy nie byłam sama. Ludzie – to jest wielka siła Piątki. Dzięki nim szkoła ma niepowtarzalną atmosferę. Niemal każde przejście przez korytarz wiązało się ze spotkaniem ko-

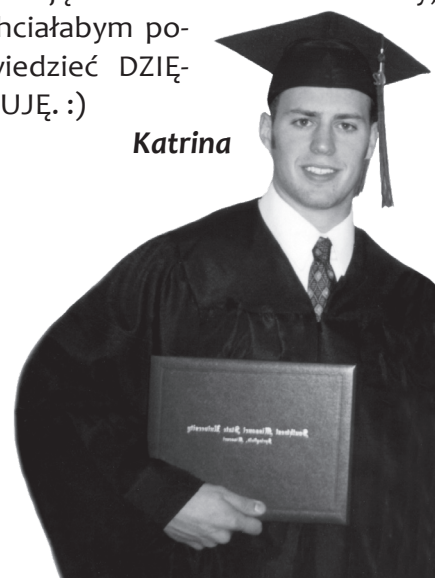
goś znajomego, kto wita szerokim uśmiechem i otwartymi ramionami. Ludzie to nie tylko rówieśnicy – Piątkę tworzy przecież także grono pedagogiczne. Tak wiele zawdzięczam niektórym Nauczycielom... Ich słowa nieraz podnosiły mnie na duchu. Pamiętam różne chwile, w których śmiałam się do łez i takie, w których starałam się ich nie pokazać. Ciągłe myślenie o ludziach, którzy znali mnie lepiej niż mi się wydawało i wierzę, że te przyjaźnie przetrwają próbę czasu i niepowodzeń. Tak, czas spędzony w Piątce nie jest stracony. Był kopalnią doświadczeń, w większości pozytywnych. Może moje słowa brzmią mało wiarygodnie dla kogoś, kto jest uczniem Piątki i nie jest zachwycony szkołą czy swoją klasą, dlatego teraz złota rada starszej koleżanki. :-) Wyjdź do ludzi! Nie czekaj, aż w Twoim życiu

■ ■ ŁOŻA

zrobi się fajnie, tylko sam tego dokonaj. Angażuj się w to, co dzieje się wśród Piątkowej społeczności. Już o aktywności na Forum nie wspominając, bo to podstawa. ;-)

Pewien etap mojego życia związany z Piątką dobiegł już końca, ale wiem, że jeszcze nieraz ją odwiedzę. Wszystkim, którzy przyczynili się do tego, że myśli o Piątce wywołują u mnie banana na twarzy, chciałabym powiedzieć **DZIĘKUJĘ. :-)**

Katrina



■ ■ Na odchodne...

Mam wielu znajomych absolwentów Piątki, którzy szczerze odradziliby każdemu uczenie się tutaj – na samą myśl o czasach liceum ożywiając się niezdrowo. Mam też wielu znajomych, którzy pamiętają o urodzinach swojego wychowawcy i spotykają się z klasą możliwie jak najczęściej – chociaż maturę pisali tutaj jakieś trzy, cztery lata temu. A przecież wszyscy ci ludzie chodzili do tej samej szkoły.

Ja nie należę ani do tych, którzy będą odradzać złożenie dokumentów do tej szkoły, ani do tych, którzy będą się spotykać ze

swoją klasą na długo po maturze. Mimo to pójście do Piątki traktuję jako najlepszą rzecz, która, jak do tej pory, spotkała mnie w życiu. To dzięki podjęciu tej decyzji udało mi się spotkać ludzi, z którymi, jak to by powiedział Andrzej Poniedziałski, „chciałoby się iść” – i wybrać z nich wszystkich tych, z którymi warto iść jak najdłużej.

Ale prawdziwie tragicznym błędem byłoby sądzić, że skoro – podobnie jak ja jeszcze parę chwil temu – chodzisz do tej szkoły, to szczęście, o jakim mówię, po prostu Ci się należy. To jedno z tych najgor-

szych, „wygodnych” mniemań, jakie zaświtają człowiekowi w głowie. Szczęście nie przychodzi tak po prostu.

Wszystko zależy tylko od Ciebie – począwszy od tego, co będziesz robić w szkole i poza nią, skończywszy na tym, jaki wynik z matury osiągniesz. I kim będziesz po tych trzech latach – a na pewno będziesz kimś innym niż teraz. Żadna szkoła nie jest w stanie sprawić, że będziesz czuł się w niej dobrze, jeśli sam nie postarasz się, by tak było. Nie trać więc czasu – to, wbrew pozorom, towar najbardziej ze wszystkich deficytowy.

En

ABSOLWENTÓW

■ ■ Po prostu za szybko...

V liceum. Moja przygoda z tą instytucją rozpoczęła się w roku 2006, gdy jeszcze jako buntownik z gimnazjum przyniosłem tu swoje papiery. Do wyboru szkoły zachęcało mnie kilku starszych znajomych, z kolei siostra kumpla mi ją odradzała. Podobno miałem nie mieć czasu na nic innego niż nauka, a jak wiadomo młodemu człowiekowi nauka nie w głowie. Nie posłuchałem i zrobiłem co chciałem. Poszedłem, zaniósłem papiery i bodajże 7 czerwca 2006 wydałem okrzyk radości. Wakacje minęły pod znakiem napięcia, oczekiwania i przyjemnego dreszczyku emocji. Co będzie dalej? Kogo spotkam? Jaka będzie klasa? Minęły wakacje i się zaczęło. Jedną z najwspanialszych przygód w moim życiu.

Nie wiem, dlaczego, ale te 3 lata minęły zbyt szybko. Jak dla mnie za szybko o jakieś kolejne 3 lata. Dlaczego przez tak długi okres codziennie idąc do szkoły miałem uśmiech na twarzy? Może dlatego, że w szkole spotkałem naprawdę wspaniałych ludzi, z którymi spędzałem dużo czasu w szkole i poza nią. Liceum powinno być czymś w rodzaju okresu przejściowego – między dzieciństwem a dorosłością; widzę, iż nasza szkoła (przynajmniej w moim przypadku) spełniła swoją rolę perfekcyjnie. Z dziecka, którym byłem na początku września 2006,

zmieniłem się w człowieka dorosłego i otwartego na świat. Prawda jest taka, że gdyby nie ci, o których wspominałem wcześniej, ta szkoła nie byłaby tym samym, bo przecież w liceum nie chodzi tylko o naukę. Moja przygoda z tą szkołą skończyła się w kwietniu tego roku, jednak widzę, że nie mogę się z tym pogodzić. Nadal często bywam w jej okolicach. Często zachodzę, by chociaż spotkać kilka osób z młodszych klas. Często mi się udaje spotkać ludzi z mojego rocznika, którzy przychodzą pod szkołę z tego samego powodu co ja. Przez 3 lata w szkole można było dostrzec fenomen rocznika 90. Teraz przyjdą następni.

Sprawcie, żeby ta szkoła była tak samo wspaniała jaka była, gdy ją opuszczałem. Sprawcie, żeby nadal wśród lubelskich licealistów krążyły legendy o wspaniałej atmosferze w piątym liceum. Chciałbym kiedyś, rozmawiając z kimś młodszym, usłyszeć o fenomenie tej szkoły tak samo, jak usłyszałem to od starszych znajomych przed jej wyborem. :)

Pafcio



Przemek

■ ■ ***
Czym jest dla mnie Piątka i dlaczego nie jest tylko wspomnieniem? Piątka to część mojego życia. Już nie da się tego wymazać, zawsze będzie. Na początku myślałem, że trzy lata to za mało jak na liceum, chciałem więcej. Jednak wiek pełnoletności plus jeden to najlepszy okres na zakończenie tego etapu. A jaki to był etap? Fenomenalny. Najszybsze trzy lata z życia. Jeszcze niedawno szedłem pełen perspektyw, ze światem z czerwonym paskiem z gimnazjum: cały świat należał do mnie. A teraz już stary, zgredziały gbur, co nie koleguje się z Muminami i Tabalugą. Zgroza.

W tych trzech cudnych latach jednak zaczynam dostrzegać wady. I moje pomyłki. Niestety trochę odpuściłem sobie życie pozaszkolne w szkole. Nigdy nie śpiewałem w czerwonej koszulce, nigdy nie łąziłem po łąkach w granatowej. Szkoda. Ale już tego nie nadrobię. Nie jestem już uczniem Piątki, muszę brać się za swój dalszy los. Jednak nie wyobrażam sobie życia bez wpadania co jakiś czas do szkoły. Chyba to taka choroba, bo co jakiś czas jeszcze jako uczeń widziałem absolwentów i dziwiłem się, że nadal tu przychodzą. Zatem – powodzenia uczniowie Piątki i do zobaczenia!

Opiekun: mgr Elżbieta Pawlak

Redaktor naczelna: Aneta Chmielewska

Zastępca redaktor naczelnej: Katarzyna Stachyra

Redakcja: Michał Chodkowski, Kinga Gruszecka, Przemysław Portas, Klaudia Kozik, Luiza Nowak, Róża Kowalczyk, Łukasz Romańczuk, Aleksandra Różycka, Sebastian Ślęczek, Katarzyna Tracz, Kamil Zieliński, Karolina Żelechowska.

Skład i oprawa: Michał Chodkowski, Przemysław Portas



I ■ Grupa AA

Bieg Bez Mozgu I Bez Watroby

Szara ulica, deszcz leje za kapturem

Tak jakby w niebie poszła tama razem
z murem

Bez wahania, przed siebie wyciągam
naga reke

Dziwny chrzest, z impetem lamie
szceke

Bez namysłu, oddalam sie kierowany
pospiechem

Uciekam zupełnie jakbym byl uesanskim
szpiegiem

Mowi moral, ze nie nalezy zatracac
nadziei

Na szczescie zajezdza numer czterdziestci
cztery

Wsiadam,

Zmeczony wydaje jedno tchnienie

Nie przepadam

Za takim serca dudnieniem

Patrze, badam miny i twarzy nie
rozumiem

Spojrzeniami obrzucony jakbym roz-
nosil stosy trumien

Patrze na bialy rekaw i jasne nagle
wszystko

Czerwien?

No coz zdziwilbym sie gdyby to po-
 prostu wyschlo

Te dwa kolory razem jak jaskrawe w
oczy bija

Nie mieszaj aby z ciemniejszym bo
odrazu cie ubija

Nie dbam oto jakby nie bylo juz nic
do strawienia

Odwracam wzrok, za duzo tu milcze-
nia

Kiedy mam czas to dla odmiany
mysle

Gdy gra muzyka, i gdy wiatr cicho
gwizdze

Wśród naiwnych osadzony jak jeden
prometeusz

Szepcze im do ucha wzory czastecz-
kowego tlenu

Kiedy bedzie pora, zebym wreszcie
wysiadl

Nie dzis, nie mam juz sil myslec na
dzisiaj

Nie wierza mi, zaprzeczaja niepodwa-
zalne fakty

Nie chca wierzyc mi? Niech wierza w
puste pakty

Bowiem zaden nie umie sobie trudu
zadac

Aby cos rozwiklac, aby chociaz cos
przebadac

Wierza w to co mowia z mikrofonem
ludzie plonni

Pobudka, budynek nie upada od
pieciuset stopni

Ludzie okropni w bezsensie swojej z
piasku wiary

Postanowili zniszczyc wszystko bo
maja inne rozmiary?

Wysiadam

Z tego toku rozumowania bladnego

Ja wladam

Jeszcze nad soba czlowieku

Biegna w czapeczkach i sie krzywdza
szczyca

I my biegniemy, zaraz za chromowa-
na smyczka

Dzis juz prawda nie brzmi jak jedyna
wytyczna

Sa dwie prawdy, cicha no i polityczna

Za murem zamkneli dobrzy uczniowie

Porwanych gruntow wiecej niz
polowe

I rzucajac sie na lupy wciaz modly
wyglaszaja

Ruina ten swiat gdzie tylko klamliwe
rzeczy trwaja

Chcialbym zeby ktokolwiek zaczal
myslec

Gdzie te wielkie prawa, gdzie te
slowa bystre

Herkulesa glowa do przeczyszczajacej
cieczy

Juz nawet nie odwazy sie spojrzec za te
chude plecy

Straszy mnie juz dzisiaj tylko mysl
jedna

Najpierw sklawowani, teraz buduja
getta

Doszedlem

Przed wejsciem chwilke stoje

Pewnie

Demokracja musi byc, ale po naszej
stronie

Slysz...o tym murze

Ber... poistnieje...

...aida w... wyborach

Pal...mowi o l...

Sprawdz...na YT jak...

Spytaj MEEN ERHABE

